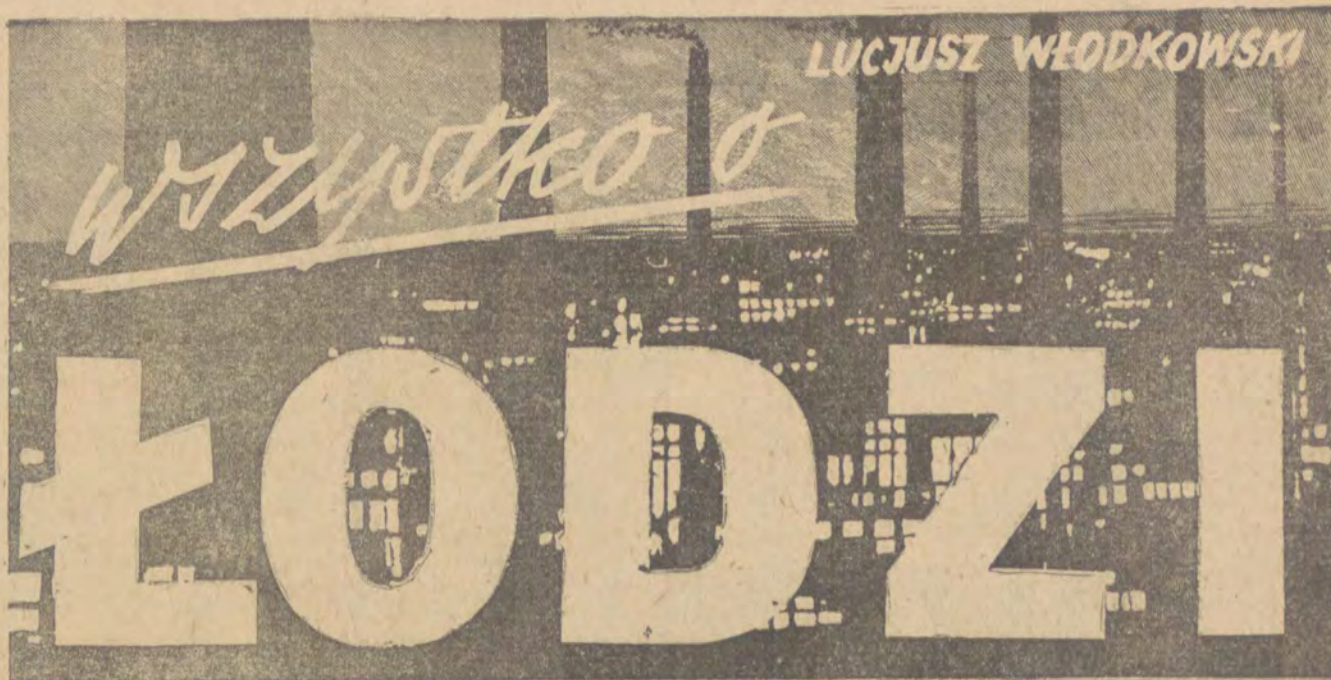


# 99 odgłosy

TYGODNIK  
ŁÓDZKI  
Rok III  
Łódź 24. I.  
1960 r.  
Nr 3  
Cena 1 zł



LUCJUSZ WŁODKOWSKI

## drzewiej

Rok 1793. Łódź liczy 55 domów i zamieszkuje ją 190 mieszkańców. Wśród nich nie ma ani jednego sukiennika.

### HISTORIA SIĘ ZACZYNA

W lipcu 1820 roku Rajmund Rembieliński, właściciel fabryki sukna w Jedwabnem i prezes Komisji Wojewódzkiej Mazowieckiej, wybrał się na lustrację województwa. Będąc w Łęczycy postanowił tu urządzić ośrodek rozwijającego się przemysłu sukienniczego. Widać jednak diabeł Boruta, lekając się hałasu i ruchu miasta przemysłowego, podsunął mu inną myśl. Bo oto jadąc traktem przez Ozorków i Zgierz do Piotrkowa, zatrzymał się Rembieliński w małej zaszytej w borach łęczyckich osadzie, w Łodzi. Było tu wiele strumieni warkko płynących i, wiele drzewa zdanego na budulec. Tu więc postanowił Rembieliński urządzić ośrodek przemysłu sukienniczego.

Opinię jego poparł w roku 1825 sam Stanisław Staszic. Orzekł on, że w Łodzi „nieliczone tryszcza źródła” i że biegiem wód tak będzie można pokierować, że strumienie będą płynęły przed domem każdego pracownika sukiennika.

Tak, za diabełskim chyba podszeptem, zaczęła się historia Łodzi przemysłowej.

### HISTORII AKT I

W roku 1820 kiedy to zapadła decyzja urządzenia osady fabrycznej, mieszkało w Łodzi 799 osób. Stało tu wtedy 112 domów. Zaistniały odpowiednie warunki rozwoju przemysłowego miasta. Z Zachodu ciągnęli wykwalifikowani rzemieślnicy, wyrzucani na bruk przez maszynę. W kraju, w olbrzymiej Rosji i dalekich Chinach stały otworem szerokie rynki zbytu. Od tego czasu liczba mieszkańców szybko rosła. W roku 1827 mieszkają w Łodzi 2843 osoby, a w dziesięć lat później liczba mieszkańców przekracza 10.500. Do Łodzi w tych latach napływa

nie w kij dmuchał, ale jubileusz nie będzie. Przyjaciele z pewnością nie opuszczą nas z tego powodu, a wrogowie odetchną. Też ludzie „Odgłosy” są pisaniem takim sobie, raczej skromnym. O ile dobrze pamiętam nie odesłali na wstępie światoburczego manifestu.

(Dokończenie na str. 2)

WIESŁAW  
JAZDZYŃSKI

## Precz z jubi- leuszem

Jubileusze nastroją do broliwie. Szczęśliwy jubilat gołów jest porzucić wszystkie urazy, skacze ochotczo w ramiona najhardziej zawziętych wrogów, chwali konkurentów, czczi ich dzieci za genialne, pisma, których nie znośił, nazywa świętymi, podobnie i redaktorów, zachwycia się nawet handlem miejskim. Jubilat jest z reguły pozytywnym bohaterem — papiera abeje zazieleniania miast, świadomego macierzyństwa, malowania domów, kompresji otatów, likwidacji godzin nadliczbowych, może tylko w akcji antyalkoholowej udziału nie bierze. Ale to już wynika z istoty polskich jubileuszy.

Jubileusze nastroją też złowigo. Nieszczęśliwy kandydat na jubilata, pozbawiony sławy, orderu i pieniędzy przez mocniejszego, gotów jest wraz z rodziną i przyjaciółmi płuć kopać, gryźć i strzelać. Jak to? Pipszycki jubilat? Co za kraj, co za ludzie, co za miasto! Iżus, przypodchlebca, mizerota pobożna, wycieracz przedpokoi, analfabeta, zmiłja, turkuć-podjadek, babcia kłozetowa więcej ma godności! A jednak Pipszycki obchodzi jubileusz. Dlaczego? No bo są kliki, siłwy, soblelizanci, republikański kumotrów, a nie przywoite społeczeństwa. Biedny socjalizm jezech taki Pipszycki, chmyz, fachudra, padalec, beztalencie absolutne, dostaje order.

Jubileusze jednoczą więc i rozbijają, z tego też względu nie przedstawiają żadnej wartości społecznej, należałoby więc je znieść. A oporów wsadzać na jakieś 2-3 lata, zależnie od charakteru jubileuszu.

Takie myśli nasunęły mi się z okazji jubileuszu „Odgłosów”. Okazja niby jest, ostatecznie str. numerów to

### Nasza szkołka

## DWA RAZY TRZY PO TRZY

Jezus Maria, nowy jubileusz! Już mnie nogi boją od tego obchodzenia. Nie tak dawno było dziesięciolecie Teatru Dejmka (i Okropnolis), ostatnio Opery i Arlekina, nie mówiąc już o MHD, niedługo będą jubileusze bratnich organów, dziś jest 99 numer „Odgłosów”, za tydzień 100, a przecie tyle mamy zaprzyjanych instytucji! Każda zaś z nich powstała albo 10 albo 15 lat temu. U nas jubileusze ogólne swoją drogą i jubileusze szczególne, każdego detalu — swoją. Boy w najkoszmarniejszych snach by czegoś podobnego nie przewidywał. A mnie rzadko który wolno ominąć. Taki jest protokół dyplomatyczny.

Szefie! Przecież przed rokiem jeden jubileusz „Odgłosów” już zatawiłem. W każdym razie — jednego zajaczkę, który mi się podówczas nawinął. A dziś? Dziś jakoś nikt się nie nawija. Ale ja zawsze mogę.

A więc 99 razy dawateś, Szefie, mi w dzierzawę skromne miejsce każąc wykladać wiernym a cierpliwym Uczniom sens Twoego cotygodniowego przedsięwzięcia. Tedy zgodnie z

Dalszy ciąg  
na str.  
2

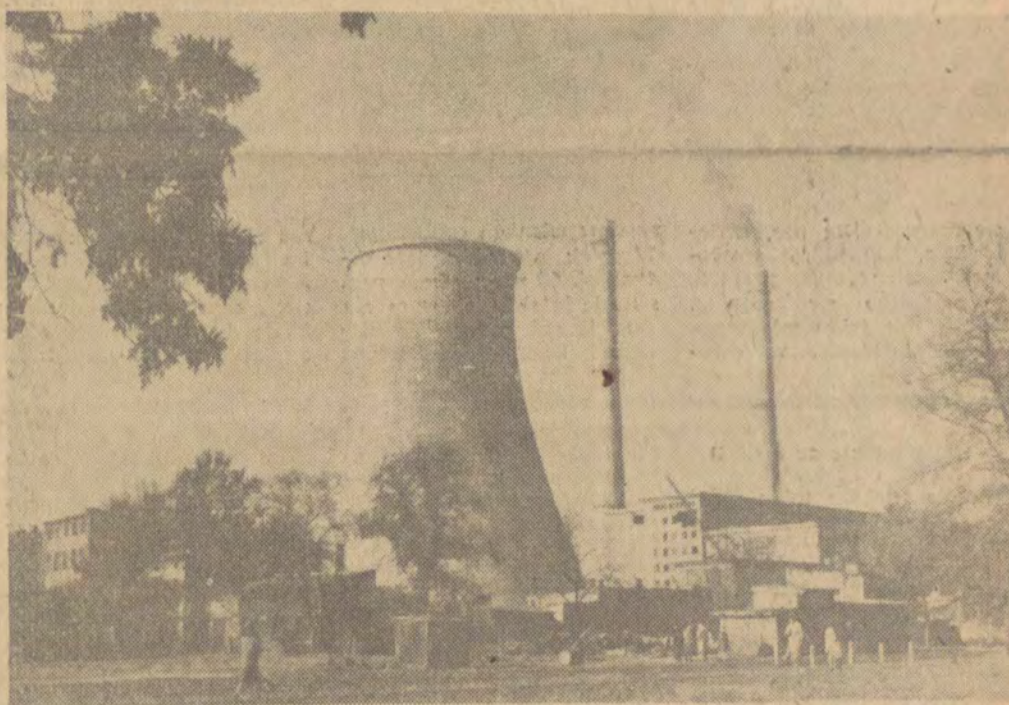
wielu tzw. „pożytecznych cudzoziemców”. W latach 1822 — 1831 osiedliło się w Łodzi 1029 cudzoziemców. Był to sukiennicy, tkacze, prządnicy. Otrzymali oni od rządu działki, pożyczki, budulec, rząd zainteresowany w rozwoju przemysłu zwalniał ich od służby wojskowej i na przeciąg pewnego czasu od podatków.

Pierwszy znakomity „pożyteczny cudzoziemiec” — Karol Saenger z Chodzieży przybył do Polski w 1821 roku, a dwa lata potem osiedlił się na stałe w Łodzi. Założył tu fabrykę wyrobów wełnianych i drukarnię tkanin płócennych. Po nim przybyli Tytus Kopisch i Fryderyk Wendisch, a w 1828 roku osiedlił się w Łodzi Ludwik Gayer. Otrzymał on od rządu 14-morgową działkę przy Rynku Głównym, 3000 złp. pożyczki, drzewo na budulec bezpłatnie i duże ulgi w przywożeniu do Królestwa Polskiego surowca. Ludwik Gayer był dobrym fachowcem, człowiekiem obrotnym i pracowitym, niesummiennym płatnikiem podatków, a do tego wszystkiego kombinatorem i dlatego chyba... założycielem wielkich zakładów bawełnianych (dziś Zakłady im. F. Dzierżyńskiego). On też pierwszy sprowadził do Łodzi w roku 1839 maszynę parową o mocy 50 KM. Po nim przybył do Łodzi inni „wielcy przemysłowcy”, wśród nich Karol Schelbler i Traugott Grohman.

### HISTORII AKT II

Jest rok 1884. Łódź przedstawiała się na bawełnę i wciąż jeszcze rozwija się szybko. W Warszawie uka-

Dalszy ciąg  
na str. 3

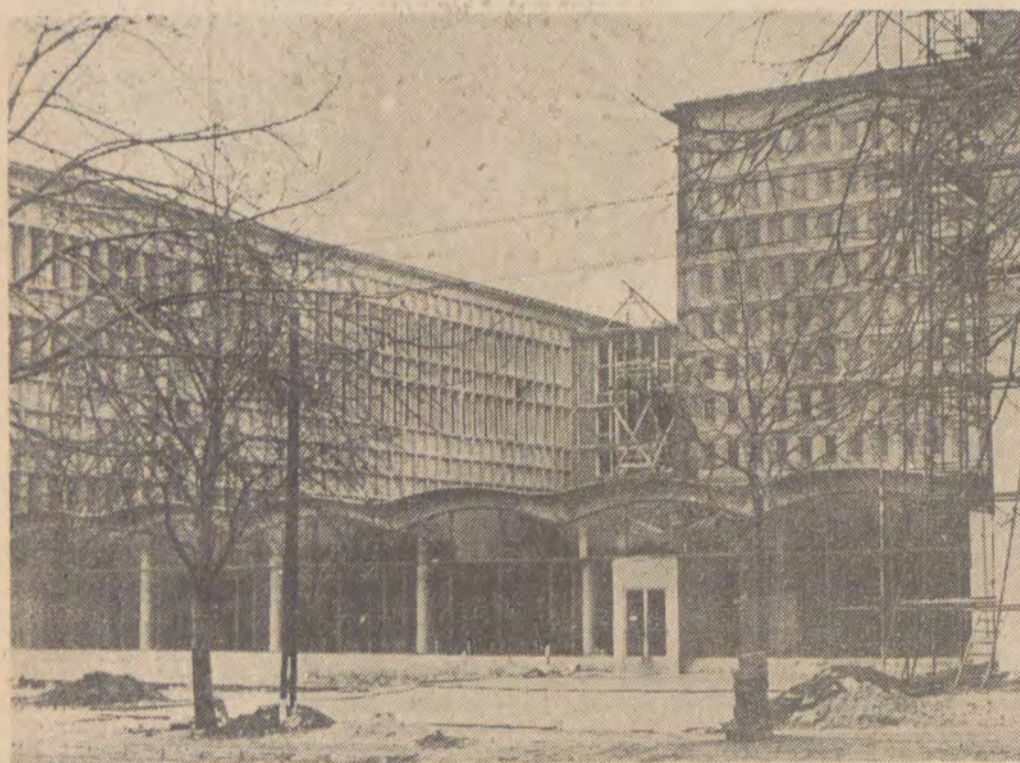


Elektrociepłownia im. W. Lenina

Fot. E. Haneman



Fot. Z. Jarzyński



Łódź — Biblioteka U. L.

Fot. L. Olejniczak



Łódź — szkoła przy ul. Bojowników Getta

Fot. L. Olejniczak

# Dwa razy trzy po trzy

(Dokończenie ze str. 1)

prawami międzynarodowymi — musisz mi oddać tę rubrykę we władanie wieczne. Trudno — nie darmo.

A więc, że jubileusz — to przyjaciele klepią nas po ramieniu i mówią: pismo się rozwija. Dla nas, dialektyków, klepski to komplement, skorosmy przyjęli, że wszystko się rozwija. Jest to tak, jakby młodą panią komplementować wwa-

gą „Och pani oddycha”. Oddychamy. I to dobre. Inni ledwie ziępią.

Kiedy „Odgłosy” powstawały, toczyliśmy spory, dla kogo ma być to pismo. Dla inteligentów? Robotników? Inteligentów? Pomyśleliśmy, że jakoś to będzie, czyli że będziemy dla wszystkich, a zobaczy się czy i kto nas będzie czytał. Historia nie dała odpowiedzi na stawiane na wstępie pytania. Zresztą w świecie nie istnieją już prawie pisma dla grup zawodowych i cenzusowych (wyjąwszy periodyki strictly zawodowe), o czym mówili, Szeffie, w telewizji, robiąc nam reklamę, która i tak nie pomogła. Istnieją tylko pisma wywołane w pewien typ postaw i zainteresowań. Te zaś nie pokrywają się z rozwarstwieniem społecznym. Wyjątek stanowią intelektualistki. Ci mają swoją prasę. Ale intelektualizm to nie zawód, ani cenzus. To ulomność. Ulomność zaś winna

znajdować zadośćuczynienie. Tedy w Polsce więcej jest pism dla intelektualistów niż samych intelektualistów. Niewątpliwą jest naszą załugą, że nie obsługujemy tego gruntu. Co zresztą łatwo zauważyć. Oj, łatwo!

Z drugiej jednak strony nie jesteśmy denni i nie zatrudniamy u siebie wróżbitów, wyjąwszy Wiaczesława Czwertynskiego. Jeden taki wróżbita, kryjący się pod pseudonimem „Polityk”, po licznych sukcesach w roku minionym, kiedy to na 24 przepowiednie — 16 mu się sprawdziło, ułożył horoskopy na rok bieżący. Wspomnieć tu należy, iż „Polityk” nie pomylił się w 1959 r. w takich kwestiach jak to, że Berlin zostanie ośrodkiem zainteresowania, a nocie egipskie będą czarne, pomylił się zaś w sprawach typu „wielka czwórka zbierze się”. Aktualnie więc „Polityk” znów zapewnia sobie sukces. Skoro bowiem nawet okazało się, że nie miał racji twier-

ząc, iż Elżbieta II powije syna, to zawsze sprawdzi mu się, iż koniec świata nie nastąpi, że Chrzczeńcow pojedzie z wizytami za granicę (szczególnie, że takowe już zostały zapowiedziane) itd.

O ile „Polityk” (wybacz Józek, aleś mi się nawinął) prezentuje szczytową w pewnym sensie formę wróżbiarstwa, o tyle w ogóle to w tej zabawie nie jest odosobniony. Wszyscy publicyści węższą jakiegoś wielkiego jakościowe zmiany w świecie, związane z nastaniem lat sześćdziesiątych. Dostrajemy zawrota głowy na tle kosmosu, koegzystencji, automatyzacji i cybernetyki. Uczni zapowiadają możliwość stworzenia maszyny, nie tylko wykonującej zadania, ale posiadającej autoświadomość, nie tylko odzwierciedlającej procesy mózgu ludzkiego w wielokrotnym formacie, ale tworzącej własne procesy, maszyny twórczej „mądrzejszej” od człowieka. Przynajmniej tak

oświadcza prof. Greniewski, a jak się człowieka nie rozumie, to trzeba mu przynajmniej wierzyć.

U nas te wszystkie nowinki nie tworzą szoku społecznego. Li tylko odświętny zawrót głowy, po którym nurytym powracamy do równowagi. Zaś w pozycji równowagi mentalność ustawia się za ogonem i tak się już wleczce.

Przed wyciągnięciem wniosków zgromadzę tu kilka potocznych obserwacji z naszej codzienności.

A więc w kołach zainteresowanych panuje fascynacja na tle „eksperymentów pedagogicznych”, jakich Polska jest aktualnie areną i świadkiem. Polegają one na tym, że w kilku szkołach, zniesiono katedrę, czyli stacjonarny punkt, z którego się wyklada, zamiast ławek ustawiono stoliki i to w sposób nieregularny. Rzecz ma niewłaściwie dystans między uczniem i nauczycielem. Może i niweluje. To małe przemebliowanie w sensie dosłownym dokonane w kilku na krzyż

zjawisko to można egzemplifikować na jakimkolwiek innym przykładzie. Ale niech będzie konduktor. Widać, że cała radość jego monotonnej i mało twórczej pracy polega na posiadaniu tego szczyłka władzy nad bliźnimi, typu „zatrzymać tramwaj”, „ruszyć tramwaj”, podrygować pasażerską masę. Kompleks niedosytu władzy. Ten sam dla którego nowa organizacja — Młodzieżowa Służba Drogowa — znalazła taki tłum adeptów. Wróż, iż malców w milicyjnej służbie bardziej



(Dokończenie ze str. 1)

Znacie dobrze takie manifesty — jesteśmy awangarda, oczyszcimy literaturę z pleśni, znieśmy dęte sławy, albo — w trosce o... będziemy szli nieugięci ku... czy też — skupimy najlepsze pióra wokół naszego pisma, przeoczmy mentalność ludzka ze szczególnym uwzględnieniem łódzkiej, dobro nad złem niech zatrumfuje!

„Odgłosy” nie powstały więc w celu zbawienia świata. Założyły sobie całkiem przyziemne zadania. I nie od razu, początkowo same nie wiedziały po co są, były przerażone swoimi narodzinami, tęskniły za stódkim niebytem, za nirwaną.

Nowonarodzone w dużej rodzinie dziecko, otoczone bywa zazwyczaj prorokami. Mamusia powiada, że synuś będzie lekarzem, tatuś, że generałem, babcia, że inżynierem, dziadziś, że profesorem, przyjaciel domu, że z dziecka nie będzie. A dziecko, jak to dziecko, wybrało swoją drogę. Tak też i „Odgłosy”, miały być trybuną literacką, organem kłiki, piśmem kulisowym, szmatą, piłą, bulwarową gazetą, masową transmisją, a są?

Jeszcze nie są, starają się być piśmem tygodniowym, dla tych wszystkich, którzy nie poprzestają tylko na pracy i zjadaniu chleba, a interesują się życiem naszego miasta i regionu, zwłaszcza zaś życiem kulturalno-obywatelowym. Łódź, miasto, w którym żyjemy, nie posiada jeszcze ugruntowanej na do-

bre tradycji odbierania prasy tygodniowej.

Wystarczy wspomnieć niewesoły los periodyków kulturalno-literackich przed wojną i po wojnie. Rachityczne życie prowadziły te pisma i kończyły zazwyczaj nagłą śmiercią.

Trzeba więc taką tradycję gruntować, szerzyć rozumienie dla spraw kultury, ale kultury pojmowanej możliwie szeroko. Żyjemy w drugiej połowie XX wieku, w czasie bogatych środków oddziaływania kulturalnego.

Idee nie zwyciężają same przez się, dlatego tylko, że są słuszne. Musi im towarzyszyć praca, zwykła praca w fabrykach, która najbardziej ze wszystkich zmienia oblicze społeczeństwa. Produkcja zawsze stanowi klucz otwierający nowe epoki. Stąd też z rozmaitym powodzeniem próbują „Odgłosy” pokazywać współzależność pracy i kultury. Nigdy przecież ekonomia nie pracowała tak energicznie na rzecz kultury jak dziś. Ale to nie jest tylko sprawa telewizjo-

nik” „Odgłosów”, lecz czy można dokonać tego bez materialnego zaplecza?

Pragniemy więc możliwie szeroko spojrzeć na sprawy kultury, wierząc, że jeśli nie jeden, lub trzeci nurt naszych zainteresowań trafi do łódzkiego czytelnika. I tak się po części dzieje. Po części, gdyż bijąc na głowę swoich poprzedników, nie zdolali — jak dotąd — „Odgłosy” osiągnąć jakiegoś oszalamiającego sukcesu.

Przecież jednak można się i z tego cieszyć, że trafiają do rąk młodzieży, aktywistów kulturalnych i politycznych, można je znaleźć tu i ówdzie w fabrykach, w rękach nauczycieli i wreszcie w rękach zwykłego obywatela, który pracuje w biurze, magazynie, jakimś zarządzie. Ten właśnie szeroki wachlarz czytelników najbardziej raduje.

Niechże nam wierzą nasi wierni przyjaciele, że nie porzucimy ich na rzecz bardzo już trudnej i wysublimowanej problematyki. Jeżeli dojdziemy i do niej to tylko razem z czytelnikami. I miło będzie chyba powiedzieć sobie o zgodnym trojgacie: czytelnicy — współpracownicy — redakcja — że zczynaliśmy rozmaicie, niekiedy nawet w klepskim guście, ale jeśli rozwinięliśmy się to razem, wspólnie. To samo pragniemy powiedzieć o nieprzyjacielach. Narzekają, psoczą, ale w końcu i oni czytają „Odgłosy”.

WIESŁAW JAŹDZYŃSKI

## Precz z jubileuszem

Stąd też piszemy o literaturze, filmie, radiu, telewizji, klubach, kabaretach. Lecz walka o kulturę, to także walka o nowoczesne normy moralne, które powinny przyjąć się w społeczeństwie. Stąd też tyle zainteresowania „Odgłosów” dla takich spraw jak potoczne życie obywatelskie poszczególnych dzielnic Łodzi, miasteczek i wsi województwa. Tam jeszcze trwa zastęta moralność, zaprawiona przesadą, zabobonem, moralność świata, który musi odejść. Podsuwamy propozycje rozbijania tego świata, nasycając go pierwiastkami laickimi, parafialny zastąpić układem pragmatycznym, nowoczesnym, racjonalistycznym układem stódków pomiędzy ludźmi.

rów, radioodbiorników, pralek, odkurzaczy, urządzeń kuchennych, nowoczesnych mieszkań, mebli, tkanin dekoracyjnych. To jest również sprawa wyzwalania czasu, który można poświęcić książce.

Patrzcie na Łódź. Ona wciąż jeszcze nie tworzy całości. Mamy Łódź A i Łódź B. Pierwsza posiada wszystkie kina, teatry, dobrą sieć zaopatrzenia, mieszkańcy drugiej mierzają czas, poświęcając nieliczne godziny, wolne od pracy na bieganie po dalekich sklepach. To jest czas odebrany kulturze. Zorganizowanie życia w mieście, unowocześnienie go, wyzolenie zwłaszcza łódzkiej kobiety, która pracuje, z natłoku zajęć — stanowi „ko-

pociągać będą okazje gwłdzenia na starszych panów i taroszenia starszych pań za mankiety, niżli tajniki mechaniki ruchu i motoryzacji.

A cybernetycy przewidują jako realną i coraz bliższą perspektywę maszynowego sprawowania władzy. A władztwo nad rzeczami staje się we współczesnym świecie zabawą coraz bardziej pasjonującą i w stosunku do tego satysfakcyjne wyniki z władzy nad ludźmi wydają się rozkoszami historycznie przebrzmiałymi czymś podobnym do utrzymywania w domu kapeli, miast radioodbiornika.

Jeśli wszystkich u progu lat sześćdziesiątych wieszczą, przewidują, wróżą i wymawiają zaklęcia, pozwól, Szeffie, że i ja przyłączę się do tego chóru. Wobec trwałego u nas zapatrzenia się we władztwo dusz, ergo we władztwo nad bliźnimi, i wobec rodzimej nieprzemakalności na rewelację świata technicznego — dysproporcja między społeczną mentalnością a współczesnym rozwojem techniki będzie narastać. Od dysproporcji owej prosta droga do rozlicznych oraz różnorodnych spięć. I dobrzy ludzie powiadam Wam, co to się u nas nie podzieje. Nie wiem właściwie co, ale będą to rzeczy ciekawe.

Rozsiądmy się tedy wygodnie w fotelach. Jest rok 1960. Widowisko się zaczyna. BELFER



nek miasta wytknęła szosa zgiersko-kaliska, wzdłuż której wznoszono domy i fabryki. Szosa ta, dziś ul. Piotrkowska, stanowi główną arterię miasta.

Ludność stała dochodzi do 54.000, niestała 53.000, ogółem 107.000 (wg ksiąg meldunkowych) niezameldowanych jest zapewne około 10.000 prócz wojska...

W liczbie 264 fabryk, 157 wyrabia bawełniane wyroby, 61 wełnianą, 5 jedwabne i półjedwabne, 5 lina- ne i konopne, przędzy dostarcza 18 przędzalni wełny i 18 bawełny. Z fabryk tych pierwsze miejsce zajmują wielkie zakłady Karola Scheiblera w czterech odchodzących grupach rozmieszczonych i zatrudniające przeszło 5.000 robotników. Po nich idą zakłady sukcesorów L. Gayera, przędzalnia L. Grohmana, przędzalnia i tkalnia I. Poznańskiego, tkalnia J. Meintzla, L. Meyera, B. Maentschla. Prócz tego posiada E. 12 farbiarni, 10 pończoszarni...



W roku 1910 Łódź posiadała 569 zakładów włókienniczych różnej kategorii. Pracowało w nich 866 silników różnego rodzaju o łącznej mocy 77.020 KM. Polska liczy wtedy 505 tys. wrzecion mechanicznych wytwórczości bawełnianej, z tego Scheiblera - skupił 232 tys. a więc prawie połowę.



### HISTORIA AKT III

W roku 1913 liczba ludności Łodzi przekracza pół miliona. Samych robotników jest tu 100.000, z czego 82.085 osób pracuje w przemyśle włókienniczym. Wiele robotników to mieszkańcy okolicznych wsi, osad i miasteczek. Dla nich Łódź była szeptem marzeń a praca w fabryce awansem. Oto jeden z nich jedzie właśnie do Łodzi w poszukiwaniu pracy. Posłuchajmy jego zwierzeń:



„Nie potrafię nawet w przybliżeniu opisać mojej radości w pociągu wiozącym mnie do Łodzi. Doprawdy, jechałem na ognistym wozie do nieba i ten zachwyt pozostał we mnie zawsze.

Nie zawiódłem się w oczekiwaniu. Łódź mnie oczłomota wielkością. Wzrokiem i powonieniem odczułem, że tworzą się tu wielkie rzeczy. Nie myślałem już wtedy o dalszej pracy w stolarstwie jako półwykwalifikowany... Pragnąłem jak najprędzej stanąć przy maszynie. Fale powietrza zagęszczonego przegrzaną oliwą i bawełną, buchające otworami żelaznych okien, nastrojały mnie nie mniej podnieście niż kadzidło na procesji rezurekcyjnej.” (Lucjan Rudnicki „Stare i nowe”).

Ale ówczesna Łódź to nie tylko miasto wielkiej nadziei.



Łódź — podwórko przy ul. Głównej Fot. E. Haneman

Praca była tu ciężka, warunki życia też nie lepsze. Toteż pod powłoką zewnętrznego błęchtru toczyła się walka o prawo do miasta. Jeszcze w 1861 roku tkacze zniszczyli maszyny w fabryce Scheiblera. Potem przyszedł rok 1905. Strajk styczniowy i czerwcowe powstanie. Lecz siły wciąż jeszcze były nierówne. Fabry-



kant, ów fałszywy właściciel miasta, zwyciężył tym razem, zepchnął na dno tych, którzy własnymi rękami wytworzyli wartości, jakimi zasłynęła Łódź na rynkach świata.

A potem wojna. Łódź zajmują Niemcy. Wywożą maszyny, pasy transmisyjne, silniki. Zniszczeniu ulegają budynki fabryczne. Spada liczba ludności. Rok 1918 przynosi niepodległość i zmienia sytuację gospodarczą Łodzi. Na Wschodzie rewolucja. Odpadają rynki wschodnie, otworem stają rynki na południu Europy: Węgry, Rumunia, Balkany, wiele przedsiębiorstw, szczególnie małych, nie wytrzymuje tych zmienionych warunków i ulega likwidacji. Tworzą się wielkie spółki, powstają kartele, zrzeszenia. W roku 1929 jest w Łodzi 877 zakładów, w tym tylko 134 zatrudnia ponad stu robotników każdy.



Sytuacja przemysłu włókienniczego w okresie międzywojennym nie uległa po-

prawie. Skutki wojny, zniszczeń i kryzysów przyczyniły się z jednej strony do upadku małych zakładów, a z drugiej — do podporządkowania dużych obcemu kapitałowi, i tak w roku 1937 udział kapitału zagranicznego we włókienniczym przemysle krajowym wynosił 53,5%. Z dużych zakładów łódzkich Sp. Akc. Wyrób. Baweł. I. K. Poznański była pod zarządem kapitału włoskiego a Przedz. Weł. Czesan. Markus Kohn, Sp. Akc. w Łodzi pod zarządem światowej firmy handlu wełną Francis Willey.

I znowu trwała walka fałszywego gospodarza z prawdziwym o prawo do miasta.



sta, do kształtowania jego przyszłych losów. Strajki, nieznanne w dziejach co do rozmiarów i natężenia, przeplatały się z demonstracjami, a demonstracje z otwartą walką.

Fałszywy gospodarz prze-



mienił Łódź w ziemię przeklętą, postawił na jej straż policjanta, prawdziwy walczył uporczywie o ziemię obiecaną, o miasto ludzi pracy. I to właśnie najostrejsze ze wszystkich bitwy klasowe przerwała raz jeszcze wojna. Nastąpił

koniec historii, zaczęła się WSPÓŁCZESNOŚĆ.

więcej, dokładniej niż o dniu naprawde dzisiaj.

Dzisiaj wiemy up, że w dniu 31 grudnia 1956 roku było w Łodzi 216 przedsiębiorstw włókienniczych i 72 odzieżowe, 169 włókienniczych i 12 odzieżowych należało do państwa. Pozostałe do spółdzielni i po jednym z każdej branży do właścicieli prywatnych. Dalej dzisiaj wiemy, że w roku 1957 na terenie Łodzi było 171 zakładów przemysłu kluczowego, z czego 83 zakłady to najpotężniejszy w Łodzi — przemysł włókienniczy. W przemyśle tym pracowało 129.717 osób, co stanowi 73,7% wszystkich zatrudnionych w przemyśle kluczowym.

### PRZEMYSŁ WŁÓKIENNICZY



Przemysł włókienniczy to przede wszystkim przemysł bawełniany, wełniany, dziewiarski i pończoszniczy, odzieżowy tkanin jedwabnych i dekoracyjnych.

### BAWEŁNA

W łódzkim wieżowcu, od III do VIII piętra, ma swoją siedzibę Zjednoczenie Przemysłu Bawełnianego. Podlega mu na terenie całego kraju 57 zakładów. Z tego 27 znajduje się na terenie Łodzi. W ubiegłym roku krajowy przemysł bawełniany wyprodukował 287 873 400 m tkanin z tego w Łodzi powstało 47,4%. I to jest realny wymiar pracy naszego miasta dla kraju. Przy produkcji tej bawełny pracowało 57 900 osób, co stanowi 44,3% zatrudnionych w zakładach bawełnianych z terenu całego kraju.

### WEŁNA

Produkcją wełny zajmują się w Polsce dwa ośrodki. Na południu Bielsko-Biała, Zielona Góra. Na północy Białystok, Łódź. Stąd i dwa Zjednoczenia Przemysłu

Wełnianego. Jedno dla Południa, drugie dla Północy. Zjednoczenie Przemysłu Wełnianego Północ mieści się w Łodzi przy ulicy Kościuszki 3. Z terenu Łodzi podlega mu 16 zakładów zatrudniających 18 311 osób (w tym 48,2% kobiet), co stanowi 51% zatrudnionych w zakładach podległych ZPW-Północ. Owe 16 łódzkich zakładów wełnianych wyprodukowało 23 400 000 m tkanin wełnianych, czyli 57,2% produkcji całego zjednoczenia.

### MASZYNY I LUDZIE

#### PARK MASZYNOWY

Wszyscy są co do tego zgodni. Park maszynowy przemysłu włókienniczego jest przestarzały. Najstarsze maszyny pochodzą z lat 1870. Stare i zniszczone są też pomieszczenia. Wiele budynków ma drewniane stropy. Wiele z nich powstało jeszcze w XIX wieku i dziś już powinny być rozebrane. Te opinie potwierdzają fakty. Mówią one, że w przemyśle wełnianym 83% istniejących budynków powstało jeszcze przed pierwszą wojną światową. Mówią też że 88,9% parku maszynowego wełny pochodzi również z tamtego okresu. (Dokładne dane ilustrujące wiek maszyn trzech galezi włókiennictwa — patrz tabela na str. 5).

### OPINIE

Łaik, po zapoznaniu się z faktami, łapie się za głowę i wykrzykuje: Przecież to starzyzna! Jak to może jeszcze chodzić?

Fachowiec uśmiecha się tylko i spokojnie mówi: Anglicy pracują na maszynach jeszcze starszych.

Łaik patrzy zmieszany i myśli że z niego kłaja. Ale nie. Fachowiec wyjaśnia dalej:

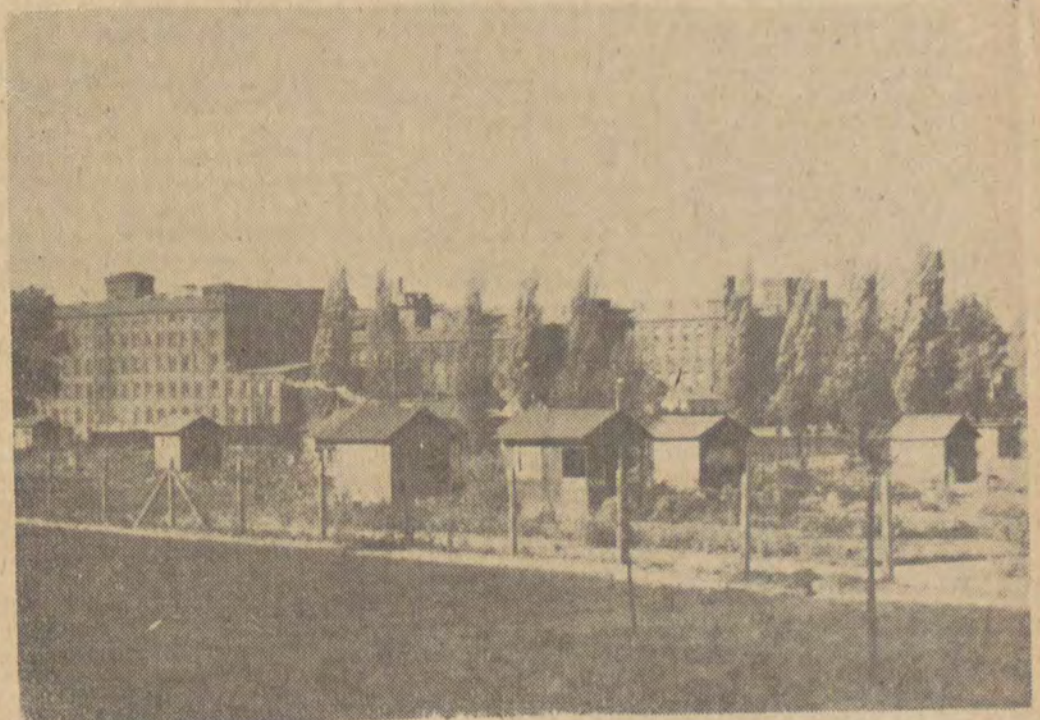
### Dokończenie

na str.

5



W kalendarzu rok 1960. Od piętnastu lat rządzi w mieście prawdziwy gospodarz. W statystyce z latami jest gorzej. Statystyka nie nadaje za kalendarzem. Statystyka to olbrzymie kolumny cyfr, stopy formuł, rzędy zapisanych liczbami, podzielonych na rubryki, maszyny do liczenia i ludzie. Kartki z kalendarza spadają szybko. Liczy się powoli. I dlatego właśnie statystyka nie nadaje za kalendarzem, nie nadaje za życiem. I dlatego właśnie o przeszłości wiemy nieraz



Ogródki działkowe

Fot. E. Haneman



**Dokończenie  
ze str. 3**

Problem polega nie tylko na wieku maszyny. Stara jest rama. Części były już wiele razy zmieniane. Stare natomiast są metody pracy technologia. Stare maszyny pozwalają zatrudnić robotników b. nisko kwalifikowanych. Przy tym wszystkim nie dba się dostatecznie o ulepszenia. Nie modernizuje się maszyn. Racjonalizacja przechodzi chorobę zwaną śpiączką.

A nowe maszyny? — nie wytrzymuje laik. Dlaczego nie wprowadza się nowych maszyn?

Nowe maszyny wprowadza się powoli. — Fachowiec jest cierpliwy. — Robotnicy muszą się nauczyć ich obsługi. A poza tym przemysł maszyn włókienniczych jest bardzo młody i przez długie lata nie miał zamówień. Pracował na zasadzie produkcji ubocznej. Mimo to może już pokryć połowę krajowego zapotrzebowania. Właśnie w pierwszej połowie bieżącego roku wyprodukujemy automataczne krosna Saurera (licencja szwajcarska). Trwają też prace nad polską — ulepszoną — wersją Saurera. Ale modernizacja przemysłu włókienniczego to nie tylko maszyny to też ludzie.

**LUDZIE**

W dużym pokoju kierownika tkalni ZPB im. Sz. Harnama słychać szum krosien. Przez okienko w ścianie widać tkaczy biorących wypłatę. Za stołem, pokrytym zielonym sukniem, siedzi kierownik tkalni, Bronisław Wójcik.

— Jak stare maszyny są u Pana w tkalni?

— Dokładnego wieku nie znam. Trudno ustalić. Ale na podstawie literatury fachowej można z całą pewnością powiedzieć, że nie powstały wcześniej niż przed osiemdziesięciu laty.

— I nie narzeka Pan na nie?

— Na maszyny tak znowu strasznie nie narzekam. Narzekam na ludzi. Na starej maszynie można robić dobre materiały. Trzeba tylko dbać o maszynę. Trzeba ją konserwować. Trzeba być tkaczem z zamiłowaniem. Stary tkacz, który tu, na tkalni zostawił prawie trzecią część swego życia, wiedział jak podejść do maszyny. Przychodził parę minut wcześniej, oglądał maszynę. Sprawdział czy jej nie grozi awaria. Robił konieczne naprawy. Teraz tkacz przychodzi, „odwala” swoje osiem godzin i idzie do domu. Na niczym mu nie zależy. Jak mu gdzieś zapląca więcej, rzuci tkalnie, pójdzie gdzie indziej. Dużo też zależy od majstra. Od jego umiejętności organizacyjnych, wiedzy fachowej. Od tego czy poprzestaje tylko na pilnowaniu ludzi, czy też jest naprawdę majstrem. Nadchodzi czas, kiedy majstrem będzie mógł być tylko technik. Bo majster nie może być tylko wykonawcą, musi być też po części twórcą — racjonalizatorem.

**ŻYCIE DUŻE I MAŁE  
czuli  
O RACJONALIZACJI**

Obok bramy tabliczka: Klub Techniki i Racjonalizacji przy ZPB im. Sz. Harnama. Na korytarzu apel: **INŻYNIEROWIE!**

Składajcie projekty Racjonalizatorskie. Dajcie przykład robotnikom, którzy pójdą w wasze ślady. **W portierni nik! akurat**

TABELA ILUSTRUJĄCA WIEK MASZYN W ŁÓDZKIM PRZEM. WŁÓKIENNICZYM

Branża	sprzed 1900	sp. 1919	sp. 1939	po roku 1945
Wetna	49,8%	32,1%	12,2%	5,9%
Dziewiarstwo	12,2%	12,7%	58,9%	17,2%
Bawełna	do roku 1920		do r. 1945	po roku 1945
	wrzciona	36,3%	60,0%	3,7%
	krosna	79,0%	12,0%	9,0%

nie wie gdzie się ten klub mieści. Może to tam, gdzie poszło tych dwu techników w sprawie Tkaczyka — podpowiada jakaś kobieta. Portier każe iść prosto i potem w lewo. Tam będzie. Ale tam nie ma. Mężczyzna w niebieskim kitlu każe iść na drugie piętro, do Działu Produkcji. Ale i tam klubu nie ma. Jest tam natomiast młody inżynier, który ma za zadanie klub ten odbudować.

Opracowano plan. Projektów racjonalizatorskich zaplanować nie można — pomysłało. Można natomiast opracować plan takiej pracy która będzie inspirowała pomysły racjonalizatorskie. A więc literatura fachowa. Pisma zagraniczne i krajowe. Tłumaczenia. Referaty, spotkania z tymi, którzy byli na zagranicznych praktykach. Organizacja życia towarzyskiego — to też ważne. Klub będzie istniał i działał razem z NOT. Oficjalnie otwarcie 15 stycznia b. roku.

— A co z projektami, pomysłami?

Są i projekty. Rozpowszechnia się projekty racjonalizatorskie z innych zakładów. Jest też jeden z „Harnama”. Pracuje tu wyrzutnik zwojów A-72, zwąpy trze paktem. Wytapiały się w nim łożyska. Inż. Zenon Pawlak który pracuje w brygadzie remontowej, miał z tym ciągle masę roboty. Wpadł więc na pomysł i dał do łożysk wkładki z tworzywa turbałskowego. łożyska, zamiast jak dotąd trzy miesiacę, pracują już bez zmiany cały rok. Uzyskano na tym 12 000 zł oszczędności. Inż. Z. Pawlak otrzymał 1200 zł nagrody.

Są ludzie, którzy odnoszą się do racjonalizacji nieufnie. Uznają oni tylko życie duże — modernizację, nowe maszyny, przebudowę całkowitą zakładów. Racjonalizacja — to życie małe, którym nie warto zawracać sobie głowy. A kiedy przychodzi robić bilans, patrzą z przerażeniem na liczby:

(Patrz tabela poniżej) I szukają przyczyn.

— Zjednoczenie nasze (P. Baw. — LW) widzi główną przyczynę upadku ruchu wynalazczości w blernej postawie dwrekeji przedsiębiorstw, rad robotniczych braku odpowiedniej propagandy, w zaniedbywaniu wydawania biuletynów tematycznych, organizowaniu konkursów itp. — słyszę wyjaśnienie.

	1956 r.	1957 r.	1958 r.	1959 r. i pótr
Ilość projektów zgłoszonych	3918	1908	937	497
Ilość projektów zastosowanych	2792	1221	615	299
Oszczędności ogółem w tys. zł	12 634	37 750	2 158	12 563

(Dane dotyczące całego Zjedn. Przem. Bawełnianego)

**jutro**

**PERSPEKTYWY**

Łódź powstała żywołowo. Bez planu, bez myśli o przyszłości. Rosły zakłady, powstawały domy jako dodatki do fabryki. Każdy budował tam gdzie trafiła się wolna działka. Zakłady przemysłowe obok domów mieszkalnych. W ten sposób powstały długie, proste ulice, gęsto zabudowane. Ulice ciasne, brudne i ciemne. Powstawały zakłady wielkie obok małych. Każdy budował dla siebie i sam chciał z tego ciągnąć korzyści. Otrzymaliśmy w spadku po tamtych czasach źle zbudowane miasto i przestarzały przemysł włókienniczy. Trzeba zmodernizować miasto i przemysł.

Modernizacja przemysłu



obejmie przede wszystkim park maszynowy i zabudowania. Stare zużyte maszyny będą i już są nawet (np. u Harnama) wymieniane na nowe. W przemyśle bawełnianym wymieni się od 30 do 40 proc. starych maszyn do r. 1965. Koszt tej wymiany wyniesie miliard zł. Modernizacja obejmie m. in. przedziałnie w Zakładach im. J. Marchlewskiego, F. Dzierżyńskiego, Sz. Harnama. W latach 1965 — 1975 modernizowane będą tkalnie kosztem 1.400 milionów zł. Do roku 1980 nie przewiduje się budowy żadnych zakładów bawełnianych.



Inaczej przedstawia się sprawa z przemysłem wełnianym. Tutaj nie wystarczy tylko modernizacja. Tu trzeba będzie budować nowe zakłady. I tak powstanie koszt 100 milionów zł Centralna Szarpania Szmata, pierwsza w Polsce Czesalnia Włókien Sztucznych — koszt 110 milionów zł, i jedna Przedziałnia Czesankowa — koszt 360 milionów zł. Osiem zakładów wełnianych obje-

tych będzie modernizacją. M. in. Zakłady im. Swierczewskiego, Gwardii Ludowej, Barlickiego, 9 Maja i inne. Przewiduje się, że do roku 1975 produkcja wzrośnie o ok. 15% w stosunku do roku 1957, przy spadku zatrudnienia o 3,8%.

Zakłady przestarzałe, których modernizowanie kosztowałoby więcej niż budowa nowych, będą musiały ulec likwidacji. Trzeba też będzie wyburzyć zakłady przeskadzające w rozbudowie miasta. I tu zaczyna się

**DIALOG MIASTA  
I PRZEMYSŁU**

MIASTO: Spójrzcie na mój plan. Te wszystkie białe plamki, gęsto rozrzucone wśród czerwonych plam domów mieszkalnych to zakłady przemysłowe. Pomyślcie: przy każdym kominie, piecu, palenisku, ścieki wylewają, odpadki. Wszystko to zanieczyszcza powietrze, szkodzi mieszkańcom. Rozelzryje się po ulicach. Są wąskie, ciasne. Jakże mało jest zieleni, trawników, drzew. Trzeba miasto przebudować. A podczas tej przebudowy trzeba będzie zburzyć kilka zakładów przemysłowych.

PRZEMYSŁ: To niemożliwe. Poniesiemy wielkie straty. Np. Jedna bawełna gdyby zburzyć wszystkie zakłady, jakie proponujecie, poniesie stratę 11 524 ton przędzy i 77 865 000 m tkanin, plus 86 214 000 zł strat przy wyburzeniu magazynów i innych zabudowań gospodarczych. Narażacie nas na straty. A przecież my Wam dajemy środki na życie.

MIASTO: Wcale nie chcemy Was likwidować. Dajemy Wam nowe, uzbrojone tereny, z boczniami kolejowymi na Radogoszczu, w Teofilowie Rudzie, na Rełkini i w Dąbrowie. Nowe arterie komunikacyjne, nowe dzielnice mieszkaniowe i usługowe wszystkim przyniosą korzyści.

Dialog nieskończony. Bawełna „uratowała” całe Zakłady PB im. F. Dzierżyńskiego i „Łódzką Tkalnię”, decydując się równocześnie na likwidację zakładów, których już nie ma sensu modernizować.

Lecz nie zapominajmy, że spierają się dziś prawdziwi gospodarze.



Ulica Parkowa Fot. Z. Jarzyński



Dom klasycystyczny, na Piotrkowskiej róg Próchnika Fot. E. Haneman



Wieżowiec Łódzki Fot. E. Haneman



Kobiety zatrudnione w łódzkim przemyśle włókienniczym (1958)



ANNA POGONOWSKA

## Tam

Tam zostały jej ręce z wyrysowanym losem  
Ktoś wchodzi zapala światło  
Leżą na stole nieporządnie beładnie  
Nie przytwierdzi ich nóż nie ustali przycisk  
Wzlatują, mkną, krążą  
Są Nie na zawsze  
Na tyle aby stwierdzić możliwość istnienia



## Trop

To że w lustrze pomija oczy  
Tylko skóra owal stwardniały  
Ile zgadywała w tych oczach  
Niegdyś na próżno

Lecz są brzozy Drogi jej czasu  
Ślady Pieczęcie tajemnicy,

## Krajobraz z rozetą

Ruchy wzgorz  
Grzbieły osiedli karki aut  
Patrzy w twarz  
Rozeta gryząca słońce

W płaskim murze uwita ze szkłem  
Pajęczycy  
Niesyła  
Pulapka na blask



KRYSTYNA

WOJTASIKOWA

Boy uważał Wyspiańskiego za ewenement, za zjawisko wyjątkowe w literaturze scenicznej. I to nie tylko polskiej. Pisał, że gdyby Wyspiański urodził się we Francji i pisał po francusku, twórczość jego znalazłby cały świat. Nie mylił się na pewno. Poeta-malarz Wyspiański stworzył dzieło niepowtarzalne, jedyne w swoim rodzaju, odkrywcze i nowatorskie w stosunku do tego, co w teatrze europejskim zastał.

Z okazji swego jubileuszu Teatr Nowy sięgnął po jedną z najrzadziej granych i najtrudniejszych, zarówno w sensie realizacji scenicznej jak i czytelności tekstu, sztuk Wyspiańskiego — „Akropolis”. Czy zrobił dobrze wybierając właśnie ten utwór? Odpowiadali już na to pytanie recenzenci prasy — tak łódzkiej, jak i poznańskiej. Odpowiadali — tak i odpowiadali — nie. Tak — ponieważ udostępnił łódzkiej (i nie tylko łódzkiej) publiczności rzecz nie graną od lat dwudziestu siedmiu. Nie — ponieważ w Dejmkowym spektaklu, zapewne (jak przy najmniej domyślali się recenzenci) twrebw intencjom reżysera, filozoficzno-histo-



Barbara Horawianka i Tadeusz Minc w sztuce „Akropolis”  
Fot. Gerard Puciato

ly uproszczone, nie zaznaczyły zupełnie powiązania poety z Krakowem, powiązania, bez którego nie można chyba zrozumieć Wyspiańskiego. On sam określił zresztą ściśle, w którym miejscu wawelskiej katedry toczy się ma dramat. Mówił

miar złego przestawiono kolejność scen oraz „kwesnie” jednych postaci włożono w usta innych. Jest tu prawie tyleż Dejmka co Wyspiańskiego. Ten okaleczony akt pozbawił reżyser również zakończenia, dość chyba istotnego dla utworu — pojawia-

# „AKROPOLIS”

ryczna koncepcja utworu nieco się zatania. Napisano już kiedyś (Józef Kretz), że „Akropolis” zrodziła się „z własnej, osobistej potrzeby poety ujrzania cudu zmartwychwstania Polski”. Motyw przewodni — pragnienie zastąpienia kultu grobów i pamiątek smutnej historii smutnego narodu, kultem hellemistycznego słońca — zamknął Wyspiański przede wszystkim w pierwszym i czwartym akcie dramatu. Kazimierz Dejmek skrócił akt pierwszy, a z czwartego pozostawił za ledwie szczątki. Wyeksponował natomiast — i sędzę, że słusznie można by mieć (i miano!) o to do niego pretensje — wątek grecki oraz biblijną historię Jakuba, niewiele mającą wspólnego z zasadniczym zamysłem Wyspiańskiego, nawet jeśli ująć ją jako alegorię przedstawiającą Polskę i jej zaborców (względnie szlachtę i lud). Alegorie były zresztą podobnie nieprzejrzyste, jak koncepcje inscenizatora. Mam też wrażenie, iż polskość kostiumów, zmieniając malarzką wizję poety, niewiele pomogła widzowi w ich „rozgrzyzieniu”. Bo też reżyser, i to jest może zasadniczym mankamentem spektaklu, jakby zapomniał o tym, że całe „miasteczko zmartwychwstania” odbywa się w miejscu jasno określonym, w Krakowie, na Wawelu. Dekoracje nie o tym jednak nie mówiły, by-

też (chodzi o aniołów dzwigających trumnę św. Stanisława w wawelskiej katedrze) wyraźnie „w srebrno-ciała płynie krew”, „szaty srebrne — te płachty brzęczą”, „to włosy me brzęczą srebrystych splotów zwojem”. Ale u Dejmka aniołowie mają cienne szaty i cienne proste peruki. Tymczasem Wyspiański ma to do siebie, że na ścisłym stosowaniu się do jego tekstu i wskazówek wychodzi się niekiedy najlepiej. Malarsko jest u Wyspiańskiego integralną częścią dramatu, ona po prostu — gra.

W „Akropolis” fantazja poety nie leży się chwilami z możliwościami technicznymi teatru. To w konsekwencji poclaga za sobą zubożenie zamierzonych przez poetę efektów w scenicznej realizacji. Dejmek zrezygnował z fruującego stada kruków, z unoszenia się postaci w powietrze. To zrozumiałe. Ale zrezygnował także z rozmowy dzwonów. I tu rzecz trzeba, że przysłowiowy reżyserki ołówki pracował zbyt już chyba intensywnie. Dejmek chcąc uczynić przedstawienie bardziej „strawnym” odebrał tekstowi — zgodził się tu wszyscy piszący o „Akropolis” — wiele piękna.

Na skrótach stracił przede wszystkim akt pierwszy. Ale i z aktu czwartego, jak już wspominałam, pozostawiono szczątki. Na do-

nia się Salvatora-Apolla, postaci symbolizującej zwycięską siłę życia, łączącej apoteozę greckiej radości istnienia z chrześcijańską wiarą w zmartwychwstanie.

A sędzę, że jeśli przedstawia się publiczności — i to po raz pierwszy od 27 lat — dzieło wielkiego poety, należy konsekwentnie i do końca dopowiedzieć jego myśl, nawet jeśli jest ona niezgodna z osobistą postawą realizatora. Co nie znaczy, bym kwestionowała prawo do daleko nawet posuniętych zmian, przeróbek, skreśleń. Ale winny one chyba być dokonywane w imię autora, w imię dobra tekstu.

Nie mam więc nic przeciwko zmaterializowaniu odautorskiego tekstu w postaci Poety. Poeta, odpowiednio ukształtowany, akcentujący powiązania „Akropolis” z „Wyzwoleniem”. Jest jednocześnie komentatorem akcji i wyraziicielem myśli samego twórcy. A właśnie didaskalia są może najpiękniejszym i najmocniejszym tekstem „Akropolis”. Dobrze się więc stało, że reżyser podał je publiczności. Tekstem tym kończy Dejmek „Akropolis”. Wiersz jest wspaniały, mówiony na tle organowej muzyki i mówiony naprawdę dobrze.

ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

# Opowiadanie spod choinki

„Świerszcza” w Teatrze Jaracza zgubił realizm. Wytrwale wbijano nam — gdy byliśmy dziećmi — do głowy, że Dickens to pisarz, którego największą zasługą jest skrzętne przenoszenie elementów świata rzeczywistego do cennych — dzięki temu! — utworów. Łatwo więc dziś byłym dzieciom zaomnieć, że istnieje coś, co można określić tylko jako konwencję dickensowską, wypływającą bynajmniej nie z krótkowzroczności ideologicznej autora, ale z artystycznej metody. Jednym z zasadniczych elementów tej konwencji jest apoteoza naiwnej dobroci, do broci nie podlegającej analizie, pierwiastkowej. Największy chyba ładunek tej dobroci — tak irytującej dla mentalności współczesnej — zawarty jest w „Świerszczu za kominem”. Tak wielki, że aż trudny do zniesienia. Po dobny nastrój panuje może tylko niekiedy w rodzinnym gronie pod choinką.

Dickens jednak nie uczęstniczył w nim bezpośrednio. Nie traktuje całego ukazanego przez siebie światka jako rzeczywistości realnie istniejącej. Ujmuje jego obraz w ramy autorskiego monologu, który ma na celu stworzenie pozorów, że mamy do czynienia z błogimi rojeniami autora, wywołanymi ćwierkaniem świerszcza. Marzenia zaś mają prawo być do ostatnich granic naiwne i melodramatyczne.

Dlaczego więc w Teatrze Jaracza narrator recytuje tekst, sztywno poruszając się po scenie, zamiast monologować swobodnie w głębokim fotelu przy kominie? Dlaczego rola świerszcza nie jest już na samym początku należyście podkreślona przez otoczenie go właściwym nastrójem? Odsłonięcie domowego ogniska przy pomocy wprowadzenia przez narratora w ruch tekturowej ścianki zwraca uwagę nie tyle na owe ognisko, ile na skłonność reżysera do konceptów. Czyżby Konrada Łaszewskiego zawiódła intuicja w stosunku do Dickensa? Ale

wróćmy do świerszcza. Jego ćwierkanie powinno dotrzeć do naszej świadomości jeszcze trzykrotnie. Nie jest to bowiem czynność podobna bezmyślnemu ćwierkaniu ptaszka na gałęzi. Świerszcz odzywa się nie bez powodu. Momenty te powinny być otoczone szczególnym pietyzmem, a napięcie emocjonalne osiąga punkt szczytowy w chwili ćwierkania. Niestety, nie czujemy o-



becności świerszcza na scenie. W dodatku jego akustyczne wcielenie, głos boginki domowego ogniska, brzmi nie nowocześnie zbyt monumentalnie.



Alcja Krawczykówna, Janusz Mazanek i Henryk Staszewski w sztuce „Świerszcz za kominem”  
Fot. Gerard Puciato

odgłosy str 7







# Ł Ó D Ź



Szkoła przy ul. Wolborskiej

Fot. Z. Jarzyński

## DZISIEJSZA

### LE- GEN- DA na

### sprzedaj

musiano wywłaszczyć. Nie tak łatwo poszło zanim wszyscy się jako tako ugodzili. „Państwo buduje szkołę, niech państwo druje żyły i daje” — mówili — „My mamy swoją Borynowa legendę, to starczy”. Za tę właśnie legendę Lipce wcześniej weszły do planów budowy szkół. Za tę legendę otrzymały na gwiazdke światło. Wartość państwowej inwestycji wyniosła około 1 miliona złotych. Wkład robót społecznych — ponad 16 tysięcy. Znam wsie, które zakładają światło przy odwrotnym nakładzie funduszy. Szczęśliwe są, że mogą do-



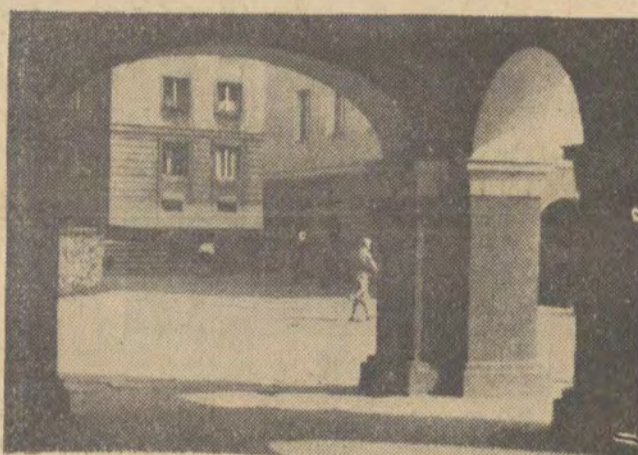
Hala sportowa

Fot. E. Haneman



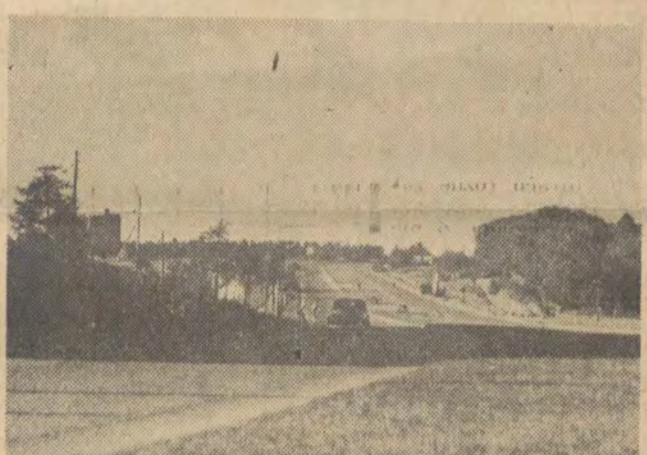
Stare Miasto

Fot. E. Haneman



Stare Miasto

Fot. E. Haneman



Autostrada

Fot. Z. Jarzyński

(Dokończenie ze str. 9)

nek, który widziałem rano w rękach chłopca.

— Dzieci mają zabawę — powiedziałem do kierownika, wskazując na dzwonek.

— Zależy jak kiedy, tak jak dzisiaj to nie.

— Przecież widziałem. Rano chłopiec dzwonił na drodze.

— To nie zabawa, to obowiązek.

— ???

— Szkoła mieści się w czterech różnych budynkach rozrzuconych po wsi w promieniu 350 m. Żeby utrzymać plan lekcyjny dzwonek musi być o jednej porze dla wszystkich klas.

— Nie łatwiej uregulować zegarki?

— Nie wszyscy nauczyciele mają zegarki.

— A jeśli deszcz lub błoto?

— Na to nic nie mogę poradzić.

A więc wszystko w porządku. Nie było w rannym spotkaniu z chłopcem nic nadzwyczajnego. Pełnił on tylko codzienny swój obowiązek dzwonnika.

W Lipcach zaczęło się budować nowa siedmioklasowa szkoła. Lipczanie jednak nie spieszą się ze składkami na fundusz szkół tysiąców. Na planowane na rok 1959-60 tysięcy złotych złożyli za ledwie około 30 tysięcy. Nie spieszą, bo wiedzą, że i tak szkoła dostana. Niektórzy chcieli nawet na tej „prywatnej” szkole zarobić. Zeby wybudować szkołę w dogodnym miejscu trzeba było trzem rodzinom dać działki: zamiennie Kamieńscy chcieli za 18 arów ziemi — 80 arów i 20 tysięcy złotych. Biaków

stać materiały. Ale one nie mają swojej legendy. Za tę legendę w końcu dostał lipczanie budynek wartości 300 tys. zł. w którym mieści się świetlica i biblioteka. W świetlicy, co zabawa leżą szyby. Nie wyrostki szyby te wstawiają, nie oni dom ten budowali. Państwo. Wszystko to przychodzi zbyt łatwo. Legenda Borynowa daje zbyt wysokie dywidendy.

Pokłonili się z uznaniem pani Nowickiej, Pintorowi, Pabiankowi, Koczewskiemu i tym wszystkim, którzy w widowisku weselnym od 25 lat kultywują kult Boryny i Reymonta. Pożyteczne to zajęcia i miła rozrywka. Im się należy uznanie. Lecz oni to jeszcze nie całe Lipce.

W pociągu jadącym do Łodzi myślałem o pięknych spotkaniach zdrzemnąłem się. Śniło mi się, że ministrowie, dyrektorzy departamentów i kilku prezesów ubrani w dzienne ubranka rozgłaszani jak sztubacy szczypta kozkami drzazgi z domniemaną chałup Boryny. Ro bili to z takim przejęciem, że nie zauważyli na domu tabliczki z napisem: „Właściciel Franciszek Swiniarski”. Obawiałem się, że gdyby ją nawet zauważyli nie przerwałby swego zajęcia. I ministrowie nie tak łatwo rezygnują ze złudzeń.

— Łódź — Fabryczna — krzyknął ktoś nade mną — koniec jazdy.

— Dlaczego nie Reymontowska?

A swoją drogą gdybym wlaź na napis stacyjny i domalował przy Łodzi, przymiotnik „Reymontowska” nie zrobiłby tym żadnego błędu. Reymont mieszkał w Łodzi i w „Ziemi Obiecanej” o Łodzi pisał. Mogła być tylko korzyść. Powstałaby nowa legenda, która może daloby się sprzedać?

### BOLESŁAW DUDZIŃSKI

Tę książkę czytałem z wyjątkowym zainteresowaniem, choć nie jest to ani powieść sensacyjna, ani w ogóle beletrystyka. Jest to „tylko” publicystyka, ale publicystyka pierwszej klasy, mająca za przedmiot bardzo ciekawą i pouczającą sprawę polskiej emigracji wrześniowej, a ściślej mówiąc — jej działalność polityczną w latach 1939—1956. Myślę tu o słownej dziś już książce Stanisława Mackiewicza — „Zielone oczy”, która jest zbiorem artykułów i felietonów, tworzących wspólnie osobliwy obraz tego, co można by nazwać tańcem emigracyjnych wód i cieni wokół fikcji państwowości polskiej.

Czytelnikom starszej generacji nie jest obca postać Stanisława Cata — Mackiewicza, b. redaktora wileńskiego „Słowa”, „Jitewskiego szlachcica” (jak sam o sobie mówi), konserwatywy i pilsudczyka. Niejednemu trudno będzie uwierzyć, że człowiek o takich poglądach znalazł się na krótko przed wojną w... Bereznie Nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe.

W wielu, bardzo wielu sprawach dzieli nas od tego

świetnego publicysty różnice ideologiczne i światopoglądowe. Ale każdy człowiek bezstronny przynajmniej Catowi trzy cenne zalety umysłu i charakteru: po pierwsze — krytycyzm i trzeźwość

„miejsca odosobnienia” a później, na emigracji, przyczyniła mu więcej wrogów niż przyjaciół.

Ten przedwojenny Cat ma pełne prawo pisać o politycznych dziejach emigracji:

„kraj. Odsłaniając kulisy emigracyjnej tragifarsy, Mackiewicz czyni to nie z pozycji kibica, lecz jako ex-rezyser i inscenizator niesednego w tej londyńskiej szopce widowiska.

Znajdziemy w jego książce ostre, wyraziste, nieraz zjadliwe charakterystyki matadorów emigracji oraz wybitnych polityków państw zachodnich. Znajdziemy dalej w „Zielonych oczach” bardzo ciekawą uwagę na temat Monte Cassino, wywiezionych skarbów polskich, głoszeń o „sprawy Bergu”, „Wolnej Eurody” i in. Spotkamy też w tej książce dużo trafnych sądów o polityce międzynarodowej.

Na obwołanie książki Mackiewicza widnieją reprodukcja obrazu mistrza Breughela pt. „Ślepi i kulawi”. Wyboru tego dokonano z pewnością nie przypadkowo. Bo czyż można by lepiej i lapidarniej określić rolę polityków emigracyjnych wobec nowego stanu rzeczy w Polsce i na świecie, tak właśnie słowami: „Prowadził ślepy kulawego”?

## PROWADZIŁ ŚLEPY KULAWEGO

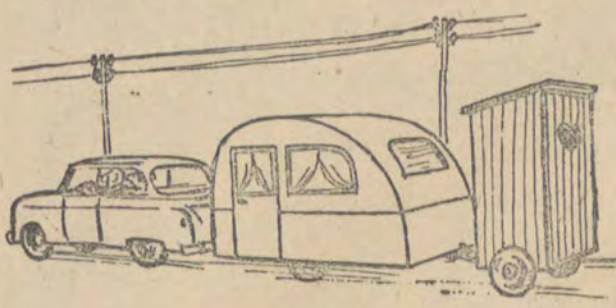
w myśleniu i działaniu: do brzości — osobista bezinteresowność i uczciwość; do trzeciej wreszcie — odwagę polityczną przeciw prądowi. Jeśli we własnym przekonaniu uzna to za słuszne i potrzebne. Ta odwaga (całkiem cywilnej natury) jest rzeczą w Polsce raczej rzadko spotykana — i ona to właśnie zawiodła p. Mackiewicza swego czasu do słynnego

był przecież wśród tej „aktywistów” zasiadał w rozmaitych „Radach Narodowych”, przewodniczył różnym emigracyjnym komisjom i komitetom. Ba! W latach 1955 — 1956 pełnił nawet funkcję premiera „rządu” londyńskiego, a z wreszcie — zbrzdziwszy sobie ostatecznie cały ten światek głupoty zasłabienia intruzów osobistych ambicji — powrócił do

**DOM  
KSIĄZKI  
DUM**

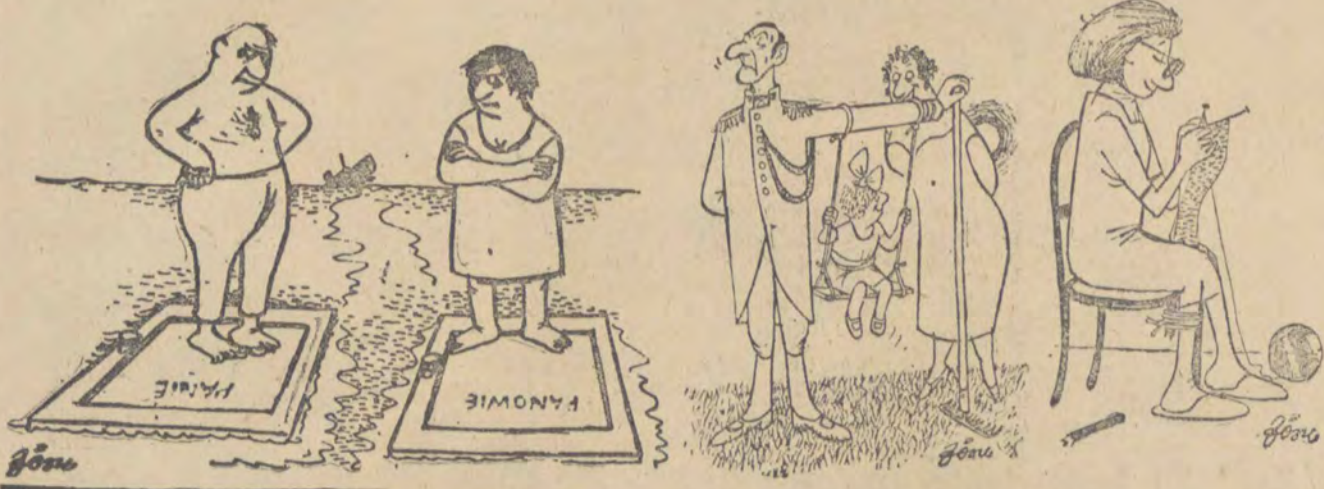
str. 10 **Dziennik**

BOGUSŁAW HOLUB



Najostrzejsze ołówki świata

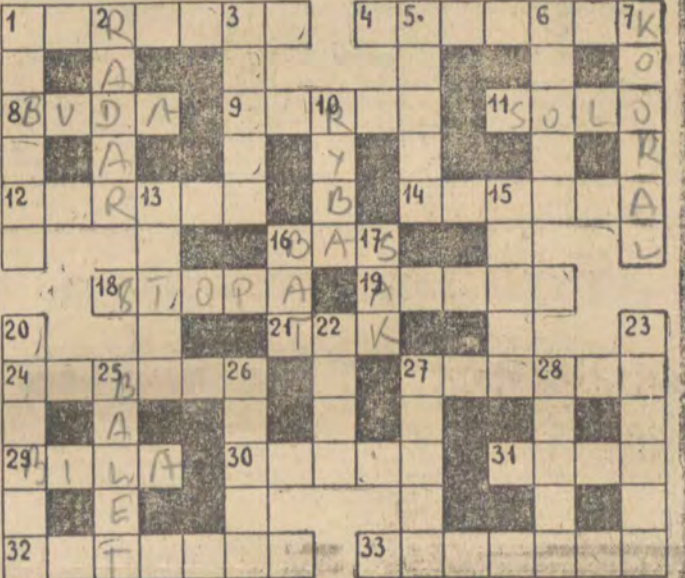
JÖRN albo straszni mieszczenie



Pod pseudonimem Jörn — ukrywa się H. J. Brandes, znany i ceniony artysta...

ZYGMUNT FIJAS O królach

Nie ma to, jak być królem. Ani taki nie musi składać zeznań o obrocie, ani nie płaci podatku...



NASZA KRZYŻÓWKA

Znaczenie wyrazów: Poziomo — 1) Roślina ogrodowa, warzywo...

Miejszadiny pod redakcją JANA HUSZCZY

O dozorcach z podziwem

„Idą traktory, idą do siewu, dzwonią kowadła, grają maszyny...

Rzetelność w informowaniu

W „Głosie Robotniczym” z 9. I. znaleźliśmy wywiad z łódzkim satyrykiem ze Stanisławowa...

Advertisement for KAGIK and Władomości, featuring a car illustration and promotional text.

Advertisement for 'mięso STATYSTYKI' (meat statistics) with a car illustration.

Advertisement for NINIEJSZYM OSTRZEGA SIĘ, ŻEBY NIE DZWONIĆ POD NUMER 328-789...



Advertisement for Wydawnictwo Prasowe 'Prasa Łódzka' with contact information.



## ROZMOWY Z ZESPOŁAMI

### DROGA

W sekretariacie Zespołu „Droga” ożywiony ruch: telefony, pakowanie kosza z różnymi drobiazgami i planem pracy...

— Trafił pan na ostatnie przygotowania do wyjazdu w plener — mówi szef produkcji, p. Wiktor Budzyński. — Wyjeżdżamy aż za Wrocław do Sycowa. Zaczynamy tam kręcić zdjęcia do następnego z kolei filmu. Będzie to współczesny dramat psychologiczny według scenariusza Eugeniusza Kabatca, reżyserowany przez Juliana Dziedzina. Akcja filmu rozgrywa się w środowisku lekarskim. Chodzi o tzw. „konflikt uczucia i obowiązku”. Tytuł: „Decyzja”. Film skończymy gdzieś w połowie roku.

— Julian Dziedzina jest, zdaje się, debiutantem?  
— Niezupełnie. Wspólnie z Romualdem Drobaczewskim i Januszem Leskim reżyserował „Miasteczko” — film, który już od dawna jest całkowicie zrealizowany, ale z pewnych względów ukaże się na ekranach dopiero za jakieś cztery miesiące. Jeszcze wcześniej Dziedzina współreżyserował „Konię nocy”.

— Przeważnie, aby zapoznać czytelników z dorobkiem — jakie jeszcze filmy były kręcone ostatnio w zespole?

— „Kłosze szczęścia” Antoniego Bohdziewicz. „Rancho Texas” Vad’ma Berestowskiego oraz wspomniane wyżej „Miasteczko”. A jeśli pana interesują plany naszego zespołu... Przynajmniej zamierzamy realizować „Rzeczywistość” Putramenta — scenariusz opracowują Antoni Bohdziewicz i Tadeusz Byrski. Równocześnie będziemy realizować wspólnie z „Mosfilmem” „Jak w jednym miasteczku”.

### SYRENA

Rozmawiam z kierownikiem artystycznym „Syreny”, reżyserem Jerzym Zarzewskim:

— Dotychczas mamy za sobą „Zabudzone uczucia”, „Żołnierza królowej Madagaskaru” (reżyserowane przeze mnie), „Pożegnania” Wojciecha Hassa, „Ewe chcaca spać” Tadeusza Chmielewskiego, „Białego niedźwiedzia” (mój) i tę nieszczęsną kooperację z Finami — „Noc poślubna”.

— A nad czym w tej chwili zespół pracuje?

— Reżyser Andrzej Czekalski robi „Ostrożnie — Yeti”. To taka „zwariowana” komedia w rodzaju „Ewy”. Scenariusz tego samego Czekalskiego i Brzozowskiego, w rolach głównych — Stepowski i Bartik. „Ostrożnie — Yeti” ukaże się na ekranach mniej więcej w połowie roku. Poza tym do produkcji skierowaliśmy film pt. „Niebo naszym dachem”. Scenariusz Adama Bąhdaja pochodzi z konkursu. „Niebo naszym dachem” — historie dziecka prostytutki, pozbawionego opieki — reżyseruje Stanisław Możdżeński. Możdżeński przygotowuje się ponadto do filmu sensacyjno-psychologicznego o grotolazach — „Wesele”. Ale to są już plany...

— Proszę mówić, plany interesują nas przede wszystkim.  
— Więc w planach mamy „O dwóch takich, co ukradli księżyc” — film według książki Makuszyńskiego, reżyserii Jana Batorego „Bukiet cyklamenów” Konrada Naleckiego. Natomiast ja wspólnie z p. Helina Mortkowicz-Olszakową piszę scenariusz filmu o Korczaku. Rozmawiał: ZAK.



KTO TO JEST?  
(Odpowiedzi szukaj na tej samej stronie)



Pełne dwie godziny trwa wyświetlanie tego barwnego, panoramicznego i nieustraszonego filmu. W tym — co najmniej o półtora godziny za dużo.

Naprawdę — wolelibyśmy, gdyby reżyser Sidney pokazał nam na ekranie półgodzinny koncert dobrej orkiestry Eddie Duchina, niż ta męcząca, melodramatyczna opowieść o przytłaczającym życiu sławnego pianisty i arcydzielnicy. Niestety — wszystkie materskie i ojcowskie grypcie Duchina zostały podane w typowo hollywoodzkim, słodko-miłym sosie taniego sentimentalizmu. Nie uratowała filmu nawet „bombowa” muzyka — arcykompilacyjny tronie Power i śliczna Kim Novak. Poza niezłymi nagraniami muzyki rozrywkowej — pozostaje z „Ostatnich akordów” w pamięci widza jedynie świetna scena, w której Eddie spotyka się z małym Japonczykiem „beprizornym” i wspólnie grają na zrujnowanym pianinie. J. Wey.

## EKRANIK

WIELE BIADOLENIA występuje się ostatnio na brak współczesnej tematyki w polskich filmach fabularnych. Tymczasem pięć pierwszych premier w bieżącym roku — to filmy o współczesnym temacie: „Zobaczymy się w niedzielę”, „Lunatycy”, „Zezowate szczęście” (premiera — 1 lutego), „Małe dramaty” (6 lutego) — i „Tysiąc talarów” (22 lutego).

NAJDROŻSZY FILM ostatnich lat — to ciągle jeszcze „W 80 dni dookoła świata”, adaptacja znanej powieści Jules Verne’a, reżyserii Mikke Todda. Wysokie koszty realizacji producent chce sobie odbić astronomiczną ceną sprzedaży. To jest właśnie powodem, który uniemożliwia sprowadzenie filmu Todda do Polski: już kilkakrotnie składaliśmy oferty — porozumienie jednak nie doszło do skutku. Wygląda na to, że na premierę poczekaemy jeszcze parę lat.

DRUKUJEMY OBOK w „Mieszance” kolejne rozmowy z szefami Zespołów Filmowych, którzy przedstawiają swoje plany produkcji na rok 1960. Owe plany obejmują tematy współczesne i historyczne, komedie, dramaty, filmy przygodowe. Uderza jednak w tym wszystkim pewien brak — nikt, do słowności nikt nie wspominał dotąd o realizacji filmu kryminalnego. Tak, klasycznego „kryminalu” z trupem i śledztwem! A przecież dawno zrehabilitowali ten gatunek filmowcy radzieccy i czechosłowaccy! Tylko u nas cisza, jakby w milicji nie było żadnych ciekawych spraw. A wiec?...

DONALD

## „Zobaczymy się w niedzielę”

Twórcą zaciekle dyskutowanego niedawno „Zimowego zmierzchu”, filmu tyłuż dalszego, co bardzo ciekawego — zaprezentował swoje najnowsze dzieło, „Zobaczymy się w niedzielę”.

Ostatni film Stanisława Lenartowicza można chyba nazwać prawdziwie współczesnym polskim filmem. Filmem o tematyce związanej z konkretnym polskim miastem, jego specyfiką i problemami, typowymi dla ogółu jego mieszkańców. Tym naprawdę uroczym miastem o szerokich ulicach i zabytkowych budowlach, miastem zieleni, urozmaiconym rozczajezieniami rzeki — jest Wrocław. To miasto jest bohaterem na równi z żywymi ludźmi, którzy tu dorastają, tu właśnie przeżywają swoje wielkie i małe sprawy, czują jakże osobiste i intymne.

Oto ulica wrocławska, otulająca życie zachwycającą perspektywą nowych gmachów, wzdłużkiem dźwięczą — i także wymownym dziełem bazarowym kreda na murze „Polacy — zajęte”. A obok tego — tradycyjna żywieciska wiejskiej rodziny ze wschodu — łaciata kro-

wa, zajmująca garaż zamiast „Mikrusa” — odprowadzana ze łzami przez swoją opiekunkę ulicami miasta musi iść tam, gdzie jest jej miejsce — na wieś.

Reżyser Stanisław Lenartowicz, zarazem autor scenariusza, na stałe osiedlony we Wrocławiu i związany z tym miastem — zrealizował swój film z wielkim ładunkiem uczuciowym. Niestety uciepiała na tym trochę forma filmu, nie dość zwartej dramaturgicznie. Film stał się wielowalutowym dość luźnym opowiadaniem, o kilku bohaterach.

Ale jakże są te postacie charakterystyczne dla Wrocławia! A z pewnością — i dla innych miast polskich... Osłaga Lenartowicz ten najważniejszy swój cel środkami nader prostymi, wyzbywszy się całkowicie w swoim filmie manery surrealistycznych udziwnień, które wywołują tyła sortydzów w „Zimowym zmierzchu”. „Zobaczymy się w niedzielę” jest filmem czytelnym dla każdego widza, choć nie zawiera owej deklaracyjności i topatologii, która tak szokowała w niektórych pozycjach sprzed kilku lat.

Obok aktorskiego doświadczenia Jadwigi Chojnackiej, Barbary Horawianki i Aleksandra Fogla — oglądamy w filmie Lenartowicza jeszcze dość surowe interpretacje ról przez młode pokolenie. Warto jednak wymienić za rolę Pietrka — Ryszarda Wojtyłę ze studenckiego teatru „Kamambur”, jak również całą grupkę urodziwych dziewcząt, wśród których wyróżniała się Danusia Starchewska, Anna Czapiuk oraz Grażyna Muszyńska.

Ogólnie trzeba stwierdzić, że „Zobaczymy się w niedzielę” jest udanym, dobrym początkiem naszej twórczości filmowej w nowym roku 1960 — i warto polecić wszystkim ten film.

Powstała interesująca opowieść o współczesnym Wrocławiu i jego mieszkańcach, można się spodziewać — że nadodrzański gród uhonoruje jakos reżysera Lenartowicza. Nastawa się jednak pytanie, czy naprawdę filmowcy łódzcy, którzy właśnie w Łodzi realizują większość swoich filmów — nie mają o naszym mieście nic do powiedzenia?

ALEKSANDER NIESMIALEK



Whrew pozorem — fotos  
nie przedstawia Brl-  
ette Bardot, byłej żony  
Francuskiego reżysera Vadi-  
Ma, lecz jego nowa żona,  
Anette Vadim...

## JESZCZE O „BULWARZE”...

Temat jest raczej ograny: starzejąca się, zapomniana aktorka filmu niemego nie chce pogodzić się z obecną swoją sytuacją, stwarza wokół siebie świat pozorów — które mają przekonać ją sama i innych, że nie się nie zmieniło, że wszystko jest jak dawniej. W tworzeniu tej fikcji pomaga jej wierny lokaj, a jak się później okazuje — były mąż i słynny niedawny reżyser filmowy.

Sam problem też nie jest nowy. Oglądaliśmy już film o starzejących się aktorach

„U schyłku dnia”, ze słynnym Louis Jouvetem. Lecz podobieństwo obu filmów jest pozorne, kończy się na temacie.

Film Wildera ukazuje problem głębszy — zeknicie się fikcji ze światem realnym. Wynika z tego zetknięcia alternatywa: rezygnacja albo zwycięstwo, choćby za cenę życia, za cenę szaleństwa. Bo tylko w świecie obłąkanych można zwyciężyć czas, zwyciężyć odwieczne prawa życia — a na-

wet odwrócić klęskę własnej starości.

„Bulwar zachodzącego słońca” pod względem psychologicznym jest bezbłędny i konsekwentny aż do końca. Dodatkowym podtekstem stał się fakt, że Gloria Swanson, która kreuje postać starzejącej się aktorki — usunęła się w cień w roku 1929 i dopiero po latach zagrała w filmie.

I to jak zagrała! Początkowa co prawda drażni nas trochę pełen ekspresji styl jej gry. Dzisiejsza publicz-

ność woli, gdy aktor „gra wnetrzem”, jest oszczędny w gestach. Wkrótce jednak zumiemy, że tak właśnie trzeba, że owo „zrywanie się” jest celowe. Norma pozostaje przecież ciągle aktorką kina niemego, która nawet na codzień nie przestaje być wielką gwiazdą. Czasem tylko — w chwilach wątpliwości — porzuca Gloria Swanson ten styl gry i jest wredy do prostu błędną, przezierną kobietą. A gdy parodiuje Chaplina — wierzymy natychmiast w słowa jej lokajki: „to jest największa aktorka na całym świecie”.

Lokajka gra sam Erich von Stroheim, który w 1929 r.

nakręcił z Gloria Swanson ostatni reżyserowany przez siebie film — „Księżniczka Kelly”. Film ten ma odcień identyczny jak „Bulwar” za kończenie: triumfalne zejście Gloria Swanson po szerokich schodach. A więc — widać tu wyraźną, świadomą aluzję Wildera.

Tak zresztą odbiera się cały film — w którym dwie pierwszoplanowe role kreują zapomniane dziś gwiazdy ekranu: aktorka Gloria Swanson i reżyser Erich von Stroheim.

Okrutna jest jednak parodia ludzka, która przez wielkość tej miary.

T. B.